№ 37. Warszawa, dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1887 roku.



TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KARTKI
Z DZIEJÓW SOCYALIZMU.

III.

Klaudyusz Saint-Simon.

(Dokończenie.)

Takiem było życie tego niepospolitego człowieka a teraz przypatrzmy się jeszcze niektórym jego pracom.

Saint-Simon oprócz wymienionych już dzieł pisał jeszcze wiele i po dziennikach, lecz wszystko co tworzył nie było systematycznie przeprowadzone. Celem jego było, jak sam mówił, zbadać stopniowy rozwój umysłu ludzkiego i pracować nad udoskonaleniem cywilizacyi.

Ludzkość u kolebki swego rozwoju, znajdowała się w okresie teologicznym, lecz w miarę gromadzenia się wiedzy, pojęcia nadziemskie musiały ustępować ziemskim i pozytywnym i powaga wiedzy naukowej stała się niewątpliwą.

Ludzie inaczej wierzyli dawniej a inaczej dziś, gdy astronomia, fizyka i fizyologia tłomaczą nam wiele niepojętych dawniej faktów.

Wynikiem wiedzy jest bezwątpienia filozofia pozytywna. Samo rozumowanie bez podstawy naukowej, nie doprowadzi nas do pożądanego rezultatu, pewność czerpie się tylko z faktów. Zadaniem filozofii jest streszczanie wiedzy i jak najlepsze jej zastosowanie do nowych dróg naukowych.

Ludzkość rozwija się nietylko pod względem umysłowym ale również moralnym i materyalnym; a ponieważ wszystko się przeobraża, człowiek zatem razem z rozwojem wiedzy dąży do dobrobytu i uczy się cenić pokój, który sprzyja pracy i przemysłowi.

Oto jest w krótkich słowach streszczenie prac i dążności Saint-Simona.

Oprócz tego wywarł on wielki wpływ na literaturę historyczną nietylko przez znajomość z Thierrym i Comte'em ale przez swoje dzieła. Saint-Simon był człowiekiem tak zdolnym, iż do czego się wziął, potrafi wyrozumować to znakomicie.

W dziele swojem „Naissance du Chrisianisme" dowiódł, iż mógłby być również bardzo dobrym historykiem.

Według jego mniemania historya nie była dotychczas należycie opracowywaną, za mało w niej było krytycznego poglądu, który wyjaśniając fakta i pozwala przez to dokładniej je ocenić. Głównym jej celem powinno być śledzenie rozwoju cywilizacyi. W historycznych dziejach ludzkości widzimy wszędzie postęp, tak pod względem duchowym jak i materyalnym.

W czasach kiedy ciemnota i lenistwo panowały na ziemi, nie było innego sposobu oddziaływania na massy jak despotyzmem, niewolą i grabieżą, lecz stopniowo, gdy społeczeństwa kształciły się i rozwijały tak pod względem ekonomicznym jak i moralnym, organizacya pierwotna musiała ustąpić, lepszej, korzystniejszej.

Jak widzimy Saint-Simon różnił się zupełnie swojemi poglądami od ogólnego prawie wtedy mniemania, stawiając cywilizacyę średniowieczną wyżej od starożytnej i twierdząc, że cywilizacya nigdy wstecz cofnąć się nie może lecz musi bezustanku iść naprzód.

System feudalny, który rozwinął się w XI-tem stuleciu, był podług Saint-Simona tylko podstawą na której przygotowywały się żywioły, mające posłużyć do wyzwolenia gminu a tem samem do przewagi klas przemysłowych. Przeobrażenie to nastąpiło po reformacyi Lutra, a rewolucye: angielska, amerykańska i francuzka dokonały reszty.

Saint-Simon pragnął wypracować pogląd nad dziejami ludzkości, lecz zamiast tego dał nam tylko wyczerpujący rozbiór przemiany systemu feudalnego na przemysłowy, w którym władza teolo-

giczna zmienia się w powagę naukową. Opozycya przeciwko dawnemu systemowi objawiła się najpierw w dziedzinie duchowej; wynikiem jej była reforma w XVI wieku.

Potem we Francyi i w Anglii zaczęto dążyć do ograniczenia władzy świeckiej, lecz budzące się do życia żywioły były zbyt słabe, aby same przez się istnieć mogły, łączyły się więc kolejno to z tem, to z owem stronnictwem, stosownie do tego gdzie większą dla siebie dostrzegały korzyść. We Francyi naprzykład gminy trzymały z królem, w Anglii zaś przeciw królowi. Królowie francuzcy popierali przemysł, handel i sztuki piękne, to zapewniało im sympatyę mas i gdyby nie połączenie się Ludwika XIV ze szlachtą, cała krwawa historya późniejszej rewolucyi nie miałaby miejsca z pewnością.

Przez wyzwolenie gmin utworzyła się własność przemysłowa a każdy nowy wynalazek lub odkrycie pomnażało siły klasy przemysłowej: i tak wynalazek prochu, uczynił wojnę zależną od nauki, drut telegraficzny utorował drogę opinii publicznej a nauki stawały się coraz więcej pozytywnemi.

„Są tylko dwa systemy urządzenia społecznego, mówi Saint-Simon, feudalny czyli wojenny, lub też przemysłowy. I w pojęciach religijnych dwa widzimy kierunki: albo bezograniczoną wiarę, albo przekonania czerpane z nauk pozytywnych.

Każdy ustalony system społeczny, jest podług Saint-Simona zastosowaniem systemu filozoficznego. Żadnej siły politycznej stworzyć nie można, bo ona sama się tworzy i dąży do przewagi, a skoro ją uzyska nazywa się wówczas konstytucyą.

Ekonomiści najbardziej popierali przemysł, który też im najwięcej powinien zawdzięczać.

Saint-Simon twierdził, że niezadługo ekonomia polityczna czyli gospodarstwo narodowe, zamiast wspierać się na polityce samo stanie się dla niej podstawą i punktem oparcia.

Ciekawym także jest podział jakim rozdzielił społeczeństwo: do klasy feudalnej zaliczył rodzinę królewską, duchownych, urzędników, wojskowych i szlachtę; do przemysłowej zaś wszystkich ludzi utrzymujących się z pracy jakoto: uczonych, artystów, kupców, rolników, bankierów i robotników i t. d.

Wielki myśliciel dowodzi również, że zmienić się musi stosunek ludu do klas rządzących; dawniej lud słuchał przez bojaźń i ślepą wiarę, później zaś czynić to będzie z przekonania, gdyż nauczy się rozumiéć pojęcia i dowodzenia uczonych ludzi. Tym sposobem z poddanego lud ten zmieni się we wspólnika.

Podług Saint-Simona każda władza w społeczeństwie póty istniéć powinna, póki okazuje się dla tegoż społeczeństwa potrzebną i użyteczną. Skoro działalność jej jest zbyteczną, należy zastąpić ją inną; dlatego też teraz władza powinna przejść w ręce przemysłowców, którzy sami pracując, potrafią oszczędzać grosz publiczny.

W tej nowej organizacyi społeczeństwa, potęgę duchową wyobrażałyby akademie umiejętności i uczeni, władzę zaś doczesną ludzie pracujący na polu przemysłowem bo ci tylko potrafią być rzeczywiście użytecznymi dla kraju; wszyscy inni są tylko pasorzytami.

Definicyą tą nie przyniósł zaszczytu bogaczom próżnującym. Władzę chciał Henryk oddać również nie bogaczom, lecz przemysłowcom, którzyby mogli dać zarobek łaknącym chleba biedakom.

Saint-Simon nie był nigdy zwolennikiem tej równości, mocą której każdy członek społeczeństwa miałby prawo do równego podziału zysków.

Nie, on chciał tylko, aby każdy był wynagradzany uczciwie za swą pracę i w stosunku do tejże pracy, oraz aby mu dostarczano sposobów zarobkowania.

Dążeniem jego nie była chęć wydzierania majątków ludziom bogatym lecz zmuszenie tychże do popierania przemysłu i handlu i do rozsiewania oświaty między ludem, któryby przez to mógł łatwiej korzystać z otwierających się przed nim dróg pracy.

Z tego wszystkiego widzimy jasno, że Saint-Simon całą duszą popierał rozwój przemysłu, nie zdradzając żadnych socyalistycznych dążeń. Dlaczego więc nazywają go socyalistą?

Dlatego może, że jego uczniowie rozwinęli doktrynę socyalizmu, dziwna rzecz tylko, że ci ludzie przylgnęli do nauki Saint Simona mając inne zupełnie dążności.

Przytem niektóre zasady Saint-Simona z pozoru wydawać się mogą innemi niż są w istocie. Jeszcze w 1821 roku pisząc do króla mówi ciągle o równości, dowodząc że w tej zasadzie tkwi cała moralność i cała polityka.

Oprócz tego nie dbał on o to co ludzie dotychczas najwięcej szanowali, to jest o formę rządu, która była dlań zupełnie obojętną.

Zmiana czynników działających w społeczeństwie stanowi o postępie ludzkości, pisał, ale nie zmiana formy rządu.

Być może więc, że te i tym podobne zasady zjednały mu zarzut tendencyi socyalistycznych, których w gruncie rzeczy bynajmniej nie podzielał.

Saint Simon tem tylko zbłądził, że nie pojmował, iż kraj rozwijać się powinien równo pod względem społecznym i politycznym i że taki tylko rozwój może właściwy zapewnić dobrobyt.

Pominął również kwestyę równouprawnienia kobiet, którą umysły żywo zaczęły się zajmować.

W ostatnich latach swego życia, Saint Simon więcej zajmował się ludem niż społeczeństwem i to można właśnie uważać u niego niejako za zwrot ku socyalizmowi.

W tym czasie obudziły się w nim także silniejsze uczucia religijne. Religię chrześciańską uważał zawsze za najdoskonalszą, lecz chciał ją ukształcić podług najnowszych postępów wiedzy i filozofii.

„Wszyscy ludzie są braćmi, pisał nie zważając na to, że bracia mają prawo do zupełnej równości we wszystkiem i że ta równość jest właśnie dążeniem socyalistów."

Lecz najwznioślejszą jego ideą było dążenie do miłości i zgody braterskiej i potępianie gwałtownych środków działania. Mniemał, że ludzie więcej dobrego zrobią społeczeństwu przez wzajemną ku sobie miłość, aniżeli przez najbardziej rozwinięte samolubstwo.

Tak więc zasady jego i pojęcia pomimo niektórych błędów i usterek, są w gruncie rzeczy szlachetne i piękne i stawiają go w rzędzie najpoważniejszych myślicieli żyjących w początkach naszego stulecia.

B. K.

Szara godzina.

Bywa w życiu godzina w mgłe cienie ujęta,
Jak ta chwila wieczorna niewyraźna, szara,
Gdy się nutą tęsknoty odzywa pieśń stara,
I w dal wybiega smętna, dziwna, niepojęta.

Oh! wtedy myśl jak korab', gdy kotwica zdjęta,
A żagiel poszarpany migoce jak mara,
Płynie po morzu zdarzeń jak marna ofiara,
W błędnych kołach życiowych jak w grobie zamknięta.

Albo lecą bezwiednie od ziemi w błękity,
I zda się że z nieb krańca w nieskończoność wkroczy,
Gdzie cały świat przyszłości w mglach leży spowity;

Wokoło się unosi jakiś śpiew proroczy,
Oko widzi w ciemności promieniste szczyty
I wszystkie sny ludzkości tłoczą się przed oczy...

Wł. T.

DZIENNICZEK JANINY.

Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Prawdaż to? — zawołał pan Duval — państwo chcą opuścić ten dom w którym dwadziescia lat przemieszkali? To być nie może, ja nie pozwolę na to.

— Nie możemy tu zostać — odrzecze matka spokojnie. — Zawiodły nas różne rachuby... ten lokal za wielki i za kosztowny dla nas.

— Ależ jam gotów czekać, chociażby i lat kilka. Błagam panią, nie czyń mi takiej krzywdy. Panno Janino, chciej pani przemówić słówko za mną.

Poglądał na mnie dziwnym wzrokiem, błyskała w nim radość i nadzieja.

— Mama wie najlepiej co czyni — odrzekłam — do mnie należy słuchać a nie radzić.

— Nie należysz pani, jak widzą, do panienek z główką przewróconą, co wyraz uległość uważają za przestarzały, za niegodny postępowego wieku. Szczęśliwy — dodał ciszej — kto otrzyma takiego anioła! Ja nie chcę tracić nadziei...—To mówiąc ujął rękę moją, uścisnął ją mocno.

Milczałam, słowo zamarło mi na ustach.

— Kto milczy, ten zezwala — szepnął zaledwie dosłyszanym głosem. — Wszak tak, panno Janino?

Nim się zdobyłam na odpowiedź, pan Duval obrócił się do mamy, jął błagać aby nie opuszczała domu. Odszedł nakoniec, przy pożegnaniu znów mi uścisnął rękę.

Mama poszła do ojca, ja uciekłam do pokoiku mego. Pociemniało mi w oczach, tysiące myśli przebiegało przez głowę, na żadnej zatrzymać się nie mogłam. Gdyby przynajmniej pan Stanisław był w Paryżu, ale on daleko, w górach Sabaudyi. Roboty przeciągnęły się tam dłużej niżeli myślał. Zeszłego lata przybył tu za urlopem na dziesięć dni. Codziennie nas odwiedzał.

Cierpi bardzo z powodu nieporozumienia ojców naszych. Pan Adam nieprzebłagany, żonie nawet być u nas nie pozwala. Major nie zważałby na to, ale pedagra dokucza mu coraz bardziej, trudno mu wchodzić na czwarte piętro, spotykamy go tylko w ogrodzie.

Od dwóch lat żyłyśmy z mamą bardzo osamotnione. Ojciec był gościem w domu, powracał zwykle smutny i zamyślony. Wacuś otrzymał doktorat, rozpoczął praktykę, ale jak zwykle bywa, początki dosyć trudne. Młody lekarz nie budzi zaufania. Kazio w szkole górniczej, otrzymuje chlubne świadectwa, sprawa to cioci Helki, która umiała przekonać go o potrzebie nauki. Ciocia nie opuszcza obowiązków w zamożnym domu, wszyscy ją tam serdecznie kochają i często zatrzymują do późnego wieczoru. Codzień wpadnie do nas, ale tylko na chwilę.

Życie tak osamotnione, przyniosło mi jednak niemałą korzyść. Ukończyłam kursa w Sorbonie, zdałam egzamin z wyższych nauk, otrzymałam patent, który mi daje prawo do zawodu nauczycielskiego, mogłabym dziś z niego korzystać, ale jak tu opuścić drogą a tak stroskaną matkę? Dziadunio nigdyby na to nie pozwolił. Mam za to w ręku inny sposób utrzymania, stokroć milszy, gdyż mnie nie oderwie od domu i rodziny. Nauczyłam się malować na porcelanie. Dotąd pracowałam dla własnej przyjemności, odtąd zarabiać będę na chleb. Jutro pojadę z ciocią do pobliskiej fabryki, zobowiążę się do malowania talerzy i filiżanek. Pracując pilnie, mogę na długim dniu zarobić kilka franków.

Bieda mnie wcale nie przeraża, czuję w sobie dość siły aby jej w oczy spojrzyć. Może też te długi nie tak wielkie, może ciocia Helena, mając tyle stosunków w zamożnym świecie polskim, wyjedna ojcu memu jakąś pożyczkę na zaspokojenie pokrzywdzonych. W miarę jak piszę, lżej mi jakoś na sercu, widnokrąg rozwidnia się przedemną. Gdyby tylko ten pan Duval nie męczył mnie natręctwem swojem. Zeszłego lata odwiedzał nas codziennie, przysyłał mi bukiety i owoce z letniej willi w Mendon, gdzie ma prześliczny ogród. Człowiek to blizko pięćdziesięcioletni, od lat kilku wdowiec po żonie, która jak mówią życie mu zatruwała. Musi być zapewne bogaty, ma swój powóz i piękne konie. W jesieni zaprzestał odwiedzin, zraziłam go zimnem obejściem. Dziś położenie nasze widocznie go znowu ośmieliło. Słowa jego do mnie, były wyraźnem oświadczeniem. Daremne te zabiegi! Wolę żyć w ubóstwie niż z mężem któregobym ukochać nie mogła. Przypuszczam że to człowiek prawy, bez zarzutu, ale już to samo że cudzoziemiec budzi we mnie wstręt niepojęty.

Dziadunio nigdyby nie pochwalił podobnych związków.

Wielkanoc za tydzień, pan Stanisław przybędzie w tych dniach, już zapewne nie wróci do Chambery, wyślą go może w bliższe strony.

Słyszę dzwonek... to ciocia! Przychodzi zwykle o tej porze. Cóż ona powie na to wszystko?

1 Kwietnia.

W głowie mojej zamęt, ręka drży... jak tu utrzymać pióro? a jednak pisać muszę, bo i komuż wypowiem co cierpię w tej okropnej chwili? Jestem narzeczoną!... sprzedałam się sama, dobrowolnie. Za miesiąc skłamię przed ołtarzem... zaprzysięgnę miłość, której nie czuję w sercu, zaprzysięgnę wiarę i posłuszeństwo!... tych dotrzymam bądź co bądź przy łasce Bożej! ale jakaż to przepaść... jak czarna noc przedemną! Stokroć by lepiej umrzeć!

Kiedy kreśliłam ostatnie słowa w tym dzienniku, ubóstwo wcale mnie nie trwożyło. Wiedziałam że ojciec wszystko stracił, wiedziałam, że ma długi ale czułam zarówno to, żeśmy zdrowi, zdolni do pracy, gotowi do poświęceń, niezepsuci zbytkiem. Nie pojmowałam całego ogromu nieszczęścia naszego.

Na odgłos dzwonka pobiegłam do saloniku, i zastałam w nim ciocię z mamą i Wacusiem. Ciocia widząc mnie wchodzącą wyciągnęła ręce schwyciła mnie w objęcin.

— Biedniż wy, biedni — rzekła — odczuwałam dawno co nastąpi, ale teraz nie czas na próżne słowa, potrzeba działać spiesznie.

Ojciec wszedł do pokoju, blady, dziwnie zmieniony, przygnębiły go cyfry, które wciąż obliczał do południa.

— Wiem o wszystkiem, Karolu — rzekła ciocia z niezwykłą słodyczą — nie upadaj na duchu, dźwignij się całą potęgą męzkiej woli.

— Nie wszystko wiesz, Heleno—odparł ojciec— wiesz o stratach, ale nie wiesz o hańbie mojej, nie znasz krzywd przezemnie wyrządzonych.

— Zgaduję, że masz długi, ale przy pracy i oszczędności wypłacisz je nie wątpię o tem. Ja mam w banku Lyońskim do dziesięciu tysięcy franków, podniosę tę sumkę, rozporządź nią na rzecz najbiedniejszych wierzycieli.

— Dzięki ci, Heleno, ale nie przyjmę twej ofiary. To zresztą ocalić mnie nie może!

— Wyznaj wszystko otwarcie — nalegała ciotka — nie lękaj się skarg i wymówek naszych. Chcąc się zmierzyć z nieprzyjacielem, trzeba naprzód spojrzyć mu w oczy. Ile masz długu? powiedz.

— Mam do wypłacenia kilka weksli, termin nadszedł... gdy nie wypłacę, wtrącą mnie do więzienia, schańbiony, stracę urząd... — I zacisnął ręce rozpaczliwie.

— Wieleż ci potrzeba? — spytała ciotka.

— Patrz, czytaj — to mówiąc podał jej papier zapisany cyframi, rzucił się na sofę, pochwycił oburącz za czoło.

— Dziewięćdziesiąt tysięcy franków — rzekła ciotka, twarz jej pobladła, ale głos się nie zmienił.

Milczeliśmy wszyscy, jakby uderzeni piorunem. Głuchy jęk wybiegł tylko z piersi mej biednej matki. Uklękłam u jej kolan.

— Uspokój się najdroższa mamo! — rzekłam ścicha, nagłą uderzona myślą — jest na to łatwy sposób.

— Sposób? a to jaki? — zagadnie matka.

— Pan Duval oświadczył się dziś o rękę moją, nie mam nic przeciw niemu... on bogaty, zapłaci weksle, ocali nas od hańby.

Co się w tej chwili działo w duszy mojej, tego nie wypowie ludzkie słowo. Takiego uczucia doznaje chyba zrozpaczony szaleniec, kiedy z mostu rzuca się na dno rzeki.

Ciocia Helena zrozumiała ofiarę moją, odgadłam to z jej oczu połyskujących łzami.

Ojciec wyciągnął do mnie ręce.

— Niech cię Bóg błogosławi, dziecko moje — zawołał z głośnem łkaniem.

Matka tuliła mnie smutno do piersi, serce jej macierzyńskie drżało o moje szczęście.

Wacuś stał na uboczu, milczący i pochmurzony. On inną wymarzył dla mnie przyszłość. Postanowienie to łamało jego plany.

Wybiła północ, rozeszliśmy się wszyscy. Kamień spadł z piersi biednego ojca. Mama przez całą noc nie zamrużyła oczu.

Odprowadził mnie Wacuś do drzwi pokoju mego.

— Co powie na to Stasio? — szepnął przy pożegnaniu.

— Milcz! — zawołałam — nie mów mi nigdy o nim.

Zamknęłam drzwi na klucz, mogłam teraz płakać swobodnie, ale łzy nie przychodziły mi do powiek, snać skamieniały w głębi piersi, szarpały ją okropnie. Przeglądałam gorączkowo wszystkie pamiątki, naprzód wpadły mi w oczy portreciki dziadunia i babuni; przycisnęłam do nich spalone usta. Śmiałam się rozpaczliwie, lecz zapłakać nie mogłam.

Wydobyłam ze stolika zeschłą wiązkę róż ujętą w pierścionek z turkusikiem.

— Ja ciebie nie dam! tyś nie dla niego! — myślałam w duchu. — Dziadunio kazał oddać cię temu, kogo ukocha serce moje, a ja go nie kocham. Będę mu wierną, lecz ukochać go to nad moje siły.

Noc zbiegła. Ranek zaświtał tak jasno i pogodnie. Poszłam do kościoła, potem na grób dziadunia i babuni. Cudnież tam kwitły bratki, goździki dobywały się z pączków. Myślałam, że przecież tu zapłaczę; jak to zwykle bywało... ani jedna łza nie padła na murawę.

O ósmej byłam w domu z powrotem. Zastałam w pokoju moim wielki bukiet z róż i heliotropu, w nim bilet pana Duvala.

On sam przybył o drugiej, zastał samych rodziców, oświadczył im życzenia swoje.

Przywołała mnie mama. Drżąca jak liść, blada jak widmo, weszłam do saloniku. Zapytana czy się zgadzam na związek z panem Duvalem, podałam mu rękę w milczeniu.

Przycisnął ją do ust. Co mówił, tego nie wiem byłam na pół umarła.

Wiedział dobrze pan Duval, o smutnym stanie finansowym ojca mego. Po krótkiej z nim rozmowie tegoż dnia przed wieczorem, tytułem pożyczki przyniósł żądaną sumę.

25 Maja.

Miesiąc upłynął. O! jakże on był długi. I czemuż się dłużej nie przeciągnął? Jutro we czwartek akt cywilny przed merem, w sobotę ślub w kościele.

W ciągu dwóch ostatnich tygodni, całe poranki spędzałam z mamą w magazynach, na przymierzaniu sukien i kapeluszy. Pan Duval z wielką delikatnością prosił mamę, aby przyjęła dziesięć tysięcy franków na wyprawę, ale mama odmówiła stanowczo. Kochana ciocia Helena rozdzieliła na pół sumkę oszczędzoną, dała mi pięć tysięcy, aby nie narażać nas na takie upokorzenie.

Spotykałam bezustanku w magazynach, dwie młode panienki z matkami, zajmujące się jak my wyprawą. Z jakąż to chciwością pożerały oczyma koronki i lyońskie materye! Ja na wszystko poglądałam ze wstrętem. Inaczej było niegdyś. Pa

miętam cztery lata temu, kiedy mama udarowała mnie pierwszą długą sukienką, ową białą, w modre bławatki, którą dziadunio tak lubił, bo przypominała mu łan pszenicy w jego rodzinnej wiosce, jakaż to była moja radość. Dziś inaczej... inaczej!...

Przez miesiąc miałam sposobność poznać mego narzeczonego, człowiek to prawy i bardzo delikatny, wolałabym doprawdy widzieć go złym, lub przynajmniej śmiesznym dorobkiewiczem; mogłabym usprawiedliwić ten wstręt jaki czuję do niego, w sumieniu byłabym spokojniejsza. Łagodny charakter pana Duvala daje rodzicom rękojmię mego przyszłego szczęścia. Zgadują oni zapewne, że się poświęcam dla nich, ale nie wątpią, że przywyknę, że zgodzę się z mym losem zniewolona dobrocią i przywiązaniem zacnego człowieka. Ciocia Helena jedna wyraźniej czyta w duszy mojej, nic nie mówi, ale widzę to w jej oczach, odgaduję w jej serdecznym uścisku. Wacuś zawsze ponury i milczący. Bodaj czy on nie sądzi, że majątek pana Duvala, że jego wille i pojazdy, skłoniły mnie w części do zezwolenia na ten związek. O! jakże on się myli!

Nieraz zapytywałam sama siebie, co mogło skłonić tego człowieka do tak usilnych zabiegów o rękę moją? W Paryżu znalazłby tysiące piękniejszych ode mnie panien, któreby mógł uszczęśliwić otaczając blaskiem i zamożnością. Dnia jednego wśród ogólnej rozmowy, on sam to wytłomaczył. Dzisiejsze wychowanie Francuzek, wcale mu nie po myśli.

Mamy, jak mówił trzy katagorye, albo zarozumiałe pedantki, pyszne z otrzymanych stopni naukowych, albo śmieszne emancypantki, na pół ubrane po męzku, domagające się równych praw z mężczyznami: albo też zalotne wietrznice, chciwe hołdów, goniące za blaskiem światowym. Panienek rozumnych a przytem skromnych zamiłowanych w domowem ognisku, spoglądających na życie z poważnego stanowiska, godnych ufności w pełnem znaczeniu słowa, nie mamy dziś, a przynajmniej bardzo o takie trudno.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korespondencya z Włocławka.

Do najużyteczniejszych instytucyi tegoczesnych, należy bezzaprzeczenia straż ogniowa ochotnicza, którą chlubią się dzisiaj miasta i osady kraju naszego. Oparta na wielkiej miłości bliźniego, a więc gorącej chęci niesienia pomocy zagrożonym nieszczęściem, znalazła uznanie i serdeczny oddźwięk w sercu ogółu. Pod sztandar też straży ogniowej ochotniczej, podążają ludzie dobrze myślący, nie płatni najemnicy, nie donkiszotowskich dążeń odłamki, nie czciciele Mamony, nie marnej sławy szperacze! Wśród dzwonów bijących na trwogę, syczenia płomieni i jęków zagrożonych utratą mienia, nie ma obietnic nagrody, nadziei pohulanki, lub wesołych godów. Tam wśród kłębów czarnego dymu, łamiących się belek, trzasku walących murów, śmierć się uwija... a oni dobrowolni ofiarnicy, spieszą ku niej, patrzą oko w oko i zagładę zapowiadają zniszczeniu.

We Włocławku, stowarzyszenie straży ogniowej zawiązane zostało w dniu 11 Lipca 1875 roku. Złożone z ludzi różnych stanów, wyznań i wieku, ma członków czynnych i honorowych; podzielone jest na toporników, gaszących sikawkami, dostarczających wody i strażników porządku. Prezydującym jest pan Paszkowski, naczelnikiem pan Leon Nowacki.

Ileż to razy miasto nasze zagrożone było zniszczeniem, gdy składy z towarem palnym, jakoto: naftą, okowitą, ujęte zostały w nieprzebłagane jak się zdawało płomienie. Niejednokrotnie ostatecznej zapobiegli ruinie, ratując drewniane budynki i chaty stanowiące jedyną własność biedaków. Gdy miasto usypia pod ciemną oponą nocy, a zajęczy dzwonek pożarny, ozwie się trąbka sygnałowa, zrywamy się trwożni ze snu, pytając: co będzie z nami? Lecz bojaźń ta pierzcha na raziew miejscu gdzie rozpoczyna się dzieło zniszczenia, wyrastają jak z ziemi dzielne zuchy nasze i jakby owe legendowe salamandry, uwijają się w płomieniach, a pozawieszani u gorejących wiązań, w kłębach duszącego dymu, nad przepaścią kalectwa lub śmierci, śmiało patrzą w oczy przerażającej grozie i nie tracąc sił, energii i zapału, nie uchodzą z placu walki inaczej, tylko... zwycięzcami!

Cześć wam rycerze ogniowi, uznanie i hołd wdzięczności!

To też dwunastą rocznicę zawiązania stowarzyszenia obchodziliśmy uroczyście.

Dzień ten rozpoczął się Mszą św. w katedrze, na którą zgromadzili się ochotnicy w pełnej liczbie, nie wyłączając starozakonnych.

Czemuż zastygły w pyle śmierci złotopłynne słowa Mościckiego, Pawęzkiego, Birkowskiego i im podobnych kaznodziejów kościelnych, którzyby snując nieomylną przędzę nauki Chrystusowej, powiedzieli tym bohaterom ognia: oto jesteście wy, co ukochaliście bliźnich waszych.

Po południu, stowarzyszeni bez różnicy w stanowisku społecznem, w sympatycznych swych uniformach, złożonych z płóciennej bluzy, lakierowanych pasów, skórzanych lakierowanych kasków, z literami: T. O. W., bawili się po za miastem, w miejscowości zwanej Falbanką.

Miasto uczestniczyło zabawie, jedni dzieląc takową, drudzy, przyglądając się jej.

Dwie orkiestry przygrywały, wszyscy byli syci i zadowoleni. Zdawało się nam, że za zasługi roku całego, zamało dnia jednego na gody tak uroczyste, a jednakże o godzinie 10 wieczorem, dzielna straż nasza, wróciła w całym porządku, szeregami, wśród cieszących się tłumów, przy blasku pochodni, odgłosie muzyki i złożywszy w budynku przyrządów ogniowych sztandar Stowarzyszenia, pogasiwszy światła, rozeszła się do domów.

Cześć pamięci Roberta Puscha, który pierwszy zorganizował straż ogniową ochotniczą, wywdzięczając się naszej ziemi za chleb i przytułek, gościnną podany mu dłonią. Oby znalazł naśladowców wśród braci swych, przybyłych do nas z obczyzny!

Paulina Biernacka.

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Na wygolonej, gładkiej twarzy starego mecenasa, pojawił się uśmiech przelotny.

— Nie wiesz czego się masz spodziewać? — rzekł — no jużcić to prawda, że nie wiesz, ale naturalnie nie pogardziłbyś milionami?

— Kto wie?

— Jestem pewny że nie. Ostatecznie, milion to, proszę cię, rzecz dobra. To pan, przed którym ludzie czapki zdejmują.

— Nie wszyscy.

— Prawie wszyscy, prawie wszyscy, szanowny naturalisto, widzi się to codzień. Milion to pan, ale i figlarz także. Nie masz wyobrażenia jak ludziom w głowach przewraca. Napatrzyłem ja się na to dosyć, mój kochany, podczas długiej praktyki. Bywały zdarzenia. Mógłbym do późnej nocy opowiadać, ale cóż cię to obchodzi? Otóż jak ci wspomniałem, odpowiedź nadeszła. Odpowiedź dokładna, pewna, na której można bezwarunkowo polegać. Dla mnie cała ta sprawa jest teraz jasna jak dzień.

— I jakże pan mecenas uważa?

— Otóż właśnie miałem ci to powiedzieć, ale mi przerywasz, a to źle. Trzeba ci wiedzieć, mój młodzieńcze, że jak ja mówiłem o sprawie, to senat słuchał, senat w komplecie! i nie przerywał mi. Czy ty wiesz co to znaczy senat?

— Wiem... sąd.

— Nieprawda, bo najwyższa magistratura.

— Przepraszam najmocniej pana mecenasa.

— No, no, takim laikom wybacza się. Otóż faktem jest: 1) że tamten istotnie umarł; 2) że posiadał bardzo znaczny majątek, złożony z nieruchomości i sum na lokacyach; 3) że nie zostawił po sobie testamentu i 4) że ponieważ jest blizkim krewnym waszego ojca przeto macie niezaprzeczone prawa do spadku.

— Więc prawda...

— Jaka prawda?! gdzie prawda? znowu przerywasz.

— Sądziłem, że pan mecenas już skończył.

— Aj ty naturalisto, nieznający najnaturalniejszych rzeczy. Tobie się zdaje, że dość już umrzeć i zostawić majątek, żeby ktoś krewny mógł przyjść i majątek ten zabrać.

— Zdawałoby się.

— Tak?! No proszę! a gdzież postępowanie spadkowe? gdzie legitymacya? ale co z profanem mówić, siadajże i słuchaj. Historya tego nieboszczyka dobrze mi jest znana; teraz przypominam sobie nawet dokładnie rok w którym zagranicę wyjechał. Były takie okoliczności że musiał to zrobić. Z początku szło mu ciężko, biedę klepał, później wziął się do jakiegoś handelku, poszczęściło mu się, zebrał maleńki kapitalik. Bieda jaką przebył nauczyła go oszczędności, a że przytem był bardzo sprytny, zabiegający, ruchliwy, więc składał tysią-

czek do tysiączka i doszedł do znacznej fortuny. Nabył sobie nieruchomość, porządną nieruchomość, jak mi oto donoszą, ale widocznie nieszczególnego miał doradzcę prawnego.

— Pod jakim względem?

— A no, pod względem lokowania kapitałów. Co to jest, proszę cię, dawać pieniądze nie na hypotekę?! Na to trzeba być waryatem, pół główkiem! a nieboszczyk pożyczał właśnie na weksle. Po śmierci znaleziono ich bardzo dużo, ale jak mi piszą, wszystkie niewiele warte. Żył w przyjaźni z jakimś bogatym antreprenerem, podobno uczciwym nawet człowiekiem, ale wielkim ryzykantem. Temu właśnie jegomości na krótko przed śmiercią pożyczył bardzo znaczną sumę, tym czasem ryzykant zanadto zaryzykował i stało się to, co zwykle w takich razach się staje, klapnął.

— Jakto klapnął?

— O naiwne dziecko! nie wiesz co znaczy klapnąć.

— Domyślam się, że nie zarobił tyle ile pragnął.

— Stracił na łeb na szyję i wszystkim pokazał figę. Ogłoszono upadłość i wierzyciele w najlepszym razie dostaną dziesięć za sto. Z tego powodu, ogromny majątek nieboszczyka redukuje się do bardzo skromnych rozmiarów. Właściwą wartość całego spadku stanowi właśnie nieruchomość o której wspomniałem. Co się zaś tyczy owych weksli, to byłoby bardzo dobrze, gdyby to co się da z nich osiągnąć, wystarczyło na pokrycie kosztów odebrania sukcesyi. Ponieważ rzecz się dzieje zagranicą, więc naturalnie koszta będą znaczne i samo przeprowadzenie interesu zajmie sporo czasu. Co do legitymacyi trudności nie będzie, o ile znam stosunki rodzinne, to wy jesteście jedyni spadkobiercy mający do tego majątku prawo. Oto jest cała rzecz.

— Dziękuję bardzo panu mecenasowi za informacyą — rzekł Czesław.

— Nie masz za co. Wolałbym ci powiedzieć, że jesteś współwłaścicielem miliona.

— Kto wie, panie mecenasie, mogę mieć go jeszcze w przyszłości — rzekł z uśmiechem Czesław.

— Filozof! łatwo się pociesza, ale masz słuszność. Lichy jest żołnierz jeżeli nie ma nadziei zostania marszałkiem, a w dzisiejszych marnych, bezbarwnych czasach, gdy ludzie tylko za groszem gonią, gdy jedynie rublami wojują, posiadanie miliona znaczy to samo co niegdyś marszałkowska buława. Zawsze to jest wybicie się po nad szary, zgłodniały tłum, nasycenie próżności, ambicyi, żądzy wywyższenia się. Ha! jakie czasy, taka i ambicya, mój kochany.

Rzekłszy to mecenas zamyślił się.

Wstał, poszedł do szafki, wydobył z niej cygaro, obejrzał starannie i napowrót schował, potem obejrzał drugie, trzecie i piąte, aż wreszcie znalazłszy takie, które mu się dobrem wydało, obciął je, zapalił i usiadł w fotelu.

Czesław milczał, stary prawnik gonił wzrokiem niebieskawy dymek unoszący się w powietrzu, a ciszę przerywał tylko miarowy chód pięknego bronzowego zegara.

— Marna ambicya! mizerne ideały — mówił półgłosem, jakby sam do siebie, mecenas — mizerne... ale ideały... duch czasu. Wszak prawda, mój młody przyjacielu?

— Istotnie, marne — odparł Czesław — jeżeli ktoś, tak jak pan mecenas naprzykład, środek za cel uważa.

— Co, co ty kochanie powiadasz?

— Powiadam, że niesłusznie potępia pan czasy i pokolenie dzisiejsze, my także mamy swoje ideały, ale warunki życia są inne, wymagania inne i okoliczności inaczej się składają teraz aniżeli dawniej. Płynie czas, szanowny panie, płynie jak woda i coraz to nowe fale toczą się starem korytem.

Mecenas badawczo spojrzał na twarz Czesława.

— Zapewne — rzekł — zapewne świat idzie... spieszy się... a w tym pośpiechu gubi co dobre, a lichotę zbiera.

— Bywa i odwrotnie, panie mecenasie — rzekł młody człowiek z uśmiechem.

— Odwrotnie? hm... może.

— Bywa panie, rzeczywiście bywa.

— Kto wie, może masz słuszność, ale widzisz ja mam swój wyrobiony już sposób widzenia rzeczy.

— Ręczę, że w zasadzie zgodzilibyśmy się na jedno, pomimo różnicy w szczegółach.

— Mojem zdaniem i szczegóły ważne są.

— To zależy.

— Ważne, powtarzam że ważne, bo proszę cię, ze szczegółów ogół się składa, ale odeszliśmy od przedmiotu, od tego co cię najbardziej obchodzi.

Czesław bliżej krzesełko swoje przysunął.

— Milionerem, mój kochany, nie będziesz — rzekł stary.

— Niech mi pan wierzy, że osobiście cała ta sprawa obchodzi mnie bardzo mało. Zapewniam pana.

— No.

— Tylko ze względu na matkę i na siostrę, głównie nawet ze względu na matkę, bo siostra moja, to bardzo energiczna, pracowita dziewczyna, ta sobie da radę na świecie.

Roześmiał się mecenas.

— Ładna panna — rzekł — znajdzie prędko męża.

— Nie myśli o tem.

— A to jakaś osobliwsza dziewczyna, dalibóg. I ty, panie Czesławie naturalnie wierzysz temu?

— Wierzę.

— Oj ty naturalisto! No, ale przypuśćmy, że zamąż nie pójdzie, cóż będzie robiła? Lekcyjki na mieście? Mój kochany, teraz w Warszawie więcej nauczycielek niż uczących się. Niedaleko zajdzie na tej drodze.

— Nie ma też podobnego zamiaru.

— Więc igiełka? także niewdzięczne zatrudnienie.

— I to nie.

— Zatem?

Czesław opowiedział szczegółowo zamiary swej siostry, których wykonanie przerwała wieść o sukcesyi i wyjazd do szwagra.

Wysłuchawszy tej relacyi, mecenas wstał i zaczął chodzić po pokoju szerokiemi krokami.

— No! — rzekł — szczególnie, doprawdy szczególnie, i to są wasze ideały?

— Tak, panie.

— Ideały, nie ma co mówić!

— Przyzna pan że uczciwe.

— Tak, tak, ani słowa. Uczciwe, że uczciwe, to prawda.

— Ma pan mecenas co przeciwko temu?

— Cóżby? Nie mam nic... jak cię kocham nic... ale dziwne mi się to wydaje.

— Czas, panie szanowny, czas.

— Masz słuszność... ktoby temu uwierzył przed laty?

— A jednak.

— Prawda, prawda... tak trzeba... tak dobrze, słuchaj no — rzekł po chwili milczenia, a z sobą co zamierzasz uczynić?

— Kursa chcę skończyć przedewszystkiem.

— To się rozumie, mój drogi, ale później? Gdzież podziejesz zdobytą naukę, w jaki sposób zużytkujesz swój dyplom? Ciasno wszędzie, dyabelnie ciasno, mój kochany.

— To prawda.

— W dodatku jeszcze wybrałeś też sobie fakultet, niech cię kule biją! Nauki przyrodnicze! Na co ci się to przyda? Żebyś prawnikiem był to jeszcze pół biedy, adwokatura przynajmniej daje kawałek chleba, naturalnie do czasu, bo niedługo będzie więcej adwokatów niż klientów. Ale nauki przyrodzone! Gdzie się z niemi podziejesz biedaku? Wszędzie ciasno!

— Ja też, panie mecenasie, pójdę tam gdzie jeszcze, względnie przynajmniej, nie ma wielkiego natłoku.

— Ciekawym!

— Ogrodnikiem będę

— Ogrodnikiem?!

— Tak jest.

— Takim co kapustę na targu sprzedaje?

— W tym rodzaju, z tą może różnicą, że będę tę kapustę może trochę umiejętniej uprawiał, aniżeli niewykształcony ogrodnik.

— Ogrodnikiem, ogrodnikiem — powtarzał mecenas. — Ha, zapewne jest to także zawód uczciwy, spokojny, ale czy warto było dlatego kończyć szkoły, odbywać studya uniwersyteckie, stracić najpiękniejsze lata młodości nad książką? Jeżeli miałeś taki zamiar to lepiej było odrazu po ukończeniu kilku klas pójść do jakiego ogrodu na praktykę.

— Ja też to zrobię.

— Co?

— Pójdę na praktykę, bez tego obejść się nie sposób.

— A potem, cóż potem będzie?

— Albo przyjmę obowiązek w jakim dużym zakładzie ogrodniczym, albo może też kiedy własny ogród założę.

— Z sukcesyi?

— Ta jest dla matki.

— Hm, hm — pomrukiwał starowina, puszczając dym z cygara. — Ideały, osobliwe ideały, na honor. A no trudno, czas taki.

— Pan mecenas nie pochwala tego?

— Co? Nie pochwalam? dlaczego niemam pochwalać? Powiadam tylko że czas taki, a skoro czas tego wymaga, skoro w danej chwili ta praca pożyteczną jest, to niech ci Bóg błogosławi, moje dziecko... Pracuj.

Czesław pocałował staruszka w ramię.

— Dziękuję za słowo zachęty — rzekł.

— Pracuj, pracuj — powtarzał mecenas — a siostrę sprowadź do Warszawy, po co ma tam siedzieć. Powiedz jej jak istotnie rzeczy stoją, niech się nie łudzi.

— Szwagrowi trudno będzie wyperswadować.

— I nie kuś się o to.

— Dlaczego?

— Bo to próżna fatyga. Jemu sukcesya owa zajechała w głowę jak fura siana. Zdaje mu się, że weksle są pewne, że wszystko będzie odebrane. Utrzymuje go w tem przekonaniu pewien jegomość, który chce się podjąć przeprowadzenia całego interesu. Łudzi go.

— I mama także się łudzi.

Mecenas rozśmiał się.

— Rozczarują się później, ale zawsze będą mieli przyjemne wspomnienia, pan inżynier przynajmniej.

— Tak, on bardzo pragnie być milionerem.

— Słyszę, że już nowe koleje buduje — rzekł śmiejąc się — fabryki zakłada, no niech się łudzi, skoro lada bajkom wiarę daje... niech się łudzi, a ty mój kochany siostrę spowadź napowrót.

— Dziś jeszcze do niej napiszę.

W przedpokoju dzwonek brzęknął.

— Stara gwardya idzie — rzekł mecenas wstając — obiecali się na dziś... towarzysze z lat dziecinnych... Hę! hę! młodzież z przed lat pięćdziesięciu, ani podobna do was... Jak się zestarzejesz, jak ci włosy z głowy uciekną, to przekonasz się dopiero co to za przyjemność o dniach młodości wspominać, z towarzyszami gawędzić.

— Nie będę więc przeszkadzał.

— Bywaj zdrów, a od czasu do czasu zajrzyj do mnie. Ja z daleka będę czuwał nad waszą sprawą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Pod kuratelą. Komedya w trzech aktach p.p. J. Moineau i A. Bisson'a. Przekład Zygmunta Sarneckiego.

Treść tej sztuki niebardzo bogata w szczegóły dramatyczne. Całością nie nudzi bardzo ale i nie bawi zbytecznie.

W Paryżu mieszka adwokat niejaki Pagevin, gruby, łysy, troszkę dziwak, z umysłem nie orlego lotu, którym rządzi samowładnie żona, kobieta już niemłoda i nigdy urodą niezalecająca się, cóż dopiero gdy się już cokolwiek podstarzała. Dobrowolny i powolny w całem swem postępowaniu, przez sądy ma sobie narzucone na opiekę sądową kilkudziesięciu marnotrawców wyrokiem na to skazanych. Niemała to praca i niemniejsza odpowiedzialność, adwokat też narzeka, stęka, a wtem wpada do mieszkania jego przyjaciel niejaki Olivier i zaraz na wstępie woła:

— Adwokacie kochany, ratuj mnie bo zginę jak mucha w ukropie. Wiesz, że dwa lata temu ożeniłem się z dzisiejszą moją żoną Paulinką, śliczniutką, wesolutką, ale prawdziwie rzucającą złoto w błoto. Prawda że wziąłem za nią 800,000 franków posagu, że mam własnego dochodu 18,000, ale wobec jej marnotrawstwa wszystko to jest niczem i jeżeli nie zostanie wziętą w kuratelę, to mienie całe nasze zniknie bez śladu.

Adwokat kręci głową a Olivier mówi dalej:

— Wystaw sobie, że moja Paulinka, aby taniej rybki złote kupić nabyła ich razem sztuk 800 i wybudowała rodzaj sadzawki kosztującej 13,000 fr. Za papugę gadającą żądano fr. 200, przez oszczędność kupiła niegadającą i zapłaciła za nią tylko fr. 40, ale zgodziła do niej nauczyciela z płacą roczną 1,800 fr. od którego po rocznej mozolnej pracy, papużka nauczyła się tylko wygłaszać: nie lubię pomidorów! Oh! i ja ich teraz nienawidzę, tak mi już zbrzydły ciągłem paplarstwem nieznośnego ptaka. Kuratela więc konieczna nad moją marnotrawnicą i ty ją wyjednaj adwokacie i to jak najspieszniej.

Adwokat na to jak na lato; proces trwa krótko i zaraz w pierwszym akcie kuratelę wyrok postanawia, wyznacza separatce 3,000 fr. miesięcznej pensyi a opiekunem mianuje samego obrońcę, adwokata Pagevin. Ten się wymawia, Paulina prosi, łzawi oczy, uśmiecha się, wreszcie zmordowany natręctwem przyjmuje oświadczając, że nie będzie malowanym opiekunem.

— Zobaczymy!—myśli sobie Paulina i z uśmiechem zalotnym podaje rączki na podziękowanie.

Poczciwy adwokat Pagevin, znał dotąd tylko swoją złą i brzydką żonę, jej ckliwą miłość, męczącą zazdrość i parasole czerwone przysyłane mu do biura podczas deszczu. Cóż więc dziwnego że nagle zbliżony do młodej, ładnej i zgrabnej mężateczki, wabiącej go wszystkiemi sztuczkami wyszukanej zalotności, łapie się na zastawione na siebie sidła, chodzi z powabną pupilką do teatru, na przechadzki i bale i zaczyna być elegantem a nawet i po części birbantem. Pani adwokatowa dowiedziawszy się o tem, na widok kapelusza damskiego zostawionego w pokoju, wpada w szaleństwo. Pagevin rozgniewany podejrzeniem, mdleje... czuje się chorym i z porady doktora już naprzód uproszonego, wyjeżdża do wód za Pauliną i to sam bez towarzystwa żony.

Uwolniony z pęt zbyt energicznej żony, biedak zupełnie oszołomiony ponętnem zachowywaniem się swej pupilki, wynajmuje dla niej pałacyk za 12,000 fr. kupuje konie za cztery tysiące, płaci tysiące franków zaciągniętych przez nią długów, wydaje bale, tańczy, upija się szampanem, przegrywa bardzo w karty i w końcu pocałowawszy Paulinę w ramię dostaje prztyczka w nos dawno mu przynależnego.

I byłoby się zapewne szaleństwo poczciwca dalej przeciągnęło, gdyby nie żonka, która trawiona zazdrością przyjechawszy do wód tajemnie dowiedziała się, że potulny jej małżonek szkaradnie ją oszukuje, że nietylko nie jest chory i nie leczy się, ale tańczy, gra, pije i hula.

— O! niegodziwcze! woła pani Pagevin, drwić z własnej żony, to za wiele! Poczekaj, nauczę cię rozumu!

W tej chwili właśnie adwokat nieprzewidując burzy, na balu bawi się w najlepsze: po tańcach idą gry towarzyskie, zaczynają ślepą babkę, adwokatowi wiążą oczy, rozpoczyna się gonitwa, kurator pragnie uchwycić Paulinę... a wtem wpada pani Pagevin. Na widok tej furyi jak rozszalała czarownica występującej, towarzystwo całe rozbiega się w różne strony, a w zgiełku rozgorzały adwokat winem i zalotami, zamiast nowo ukochanej chwyta własną żonę w objęcia. Policzek staje się zapłatą tej niezręczności, a szaleniec nagle z nieba strącony na ziemię wygląda jak zmokła kura ze skrzydłami opuszczonemi.

Jest to jedyna ofiara całego nieporozumienia, mogąca sobie szczerze powiedzieć: ah! jakże byłem głupi, słaby i zarozumiały, żem się dał tak złapać kokietce jak na plewę młody wróbel! Państwo bowiem Olivier łączą się na nowo i komedya kończy się z nieświadomością widza, co jej właściwie służy, czy pochwała czy nagana?

W grze artystów może za mało było życia, tak często niezbędnego we francuzkich utworach, ale staranności żadnemu z nich odmówić niemożna. Najwięcej jednak uwydatnili talent swój pani Ostrowska, panna Czaki i panowie: Ostrowski, Wolski, Tatarkiewicz i Szymanowski.

J. G.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Jeden z reporterów pism naszych brukowych, co radby słyszeć jak trawa rośnie, i w echu różnych głosów domyślić, co się w świecie dzieje, w braku materyału do plotki dziennikarskiej, rozgłosił z wielkim płaczliwym ferworem, że w okolicy Warszawy, na tak zwanych letnich mieszkaniach nic nie dostanie z potrzeb do codziennego życia służących, bo *poczciwi wieśniacy* chcieliby sprzedać to na wagę złota.

Zaprawdę, dziwna skarga! Pan reporter widocznie zapomniał, że spadanie i podnoszenie się cen jest następstwem ruchu społecznego, zwiększającego lub zmniejszającego żądanie jakiego przedmiotu; że na tej zmienności ceny opiera się cały handel, bogacąc jednych, a drugich ubożąc i jedynym jest bodźcem do starań i zabiegów, darzących społeczność upragnionemi wygodami, a kupczących równie pożądanym zarobkiem.

Pamiętamy ceny korca pszenicy po dwa ruble, a żyta po osiem złotych, czyli w parze po rubli trzy i kop. 20. Dziś za taką samą parę, rolnicy biorą po rubli dziesięć i więcej, a czyż gniewamy się na nich o to i z szyderstwem nazywamy *poczciwymi obywatelami?*

Gdyby jakim nieprzewidzianym wypadkiem, grono reporterów warszawskich nagle gdzieś zawieruszyło się i służbę swą przestało pełnić, czyżby *szanowny* reporter pozostawszy jedynym, nie pragnął się sprzedać na wagę złota choćby przez licytacyą, kto da więcej?

Pominąwszy jednak zasady gospodarstwa społecznego i żałobne treny reportera nad letnikami warszawskiemi, możemy zaręczyć, że w okolicy Warszawy nigdzie nie ma mieszkań letnich, w którychby możność zaspakajania potrzeb życia nie była zapewnioną, i że *poczciwi nasi wieśniacy* choćby pragnęli drzeć ze skóry, to nie mogą, bo konkurencya na to nie pozwoli. Pod tym też względem są zupełnie podobni do reporterów, umiarkowani z konieczności.

Upały znowu wróciły, miewamy po trzydzieści przeszło stopni ciepła na słońcu i wszyscy warszawiacy omdlewają z zaduchu miejskiego. Mimo tego stary gród nasz zaludnia się coraz bardziej powracającymi z letnich wycieczek, i gdy według wykazów urzędowych po trzysta przeszło osób wyjeżdża dziennie z niego, po pięćset przeszło przyjeżdża dławiąc się miejską atmosferą.

Próbna fabrykacya przetworów owocowych, założona w Kazimierzu Dolnym przez p. Kołakowskiego, przyniosła już korzystne rezultaty; soki bowiem i konfitury z owoców zostały nadesłane do sprzedaży sklepom Towarzystwa „Merkury" i innym. Pomimo zapisania się licznych uczestników tej nowej spółki, p. K. na początek otrzymał tylko 5 udziałów 100 rublowych i z nimi fabryka-

cyę rozpoczął, resztę wydatków na instalowanie fabryczne z własnej ponosząc kieszeni. Obok wiśni, będą w tym roku jeszcze przerabiane śliwki i jabłka na susz wyborowy, w suszarce amerykańskiej, która już została sprowadzona. Jak wiemy, głównym inicyatorem kapitalistów, jest w spółce przetworów owocowych p. rejent Zawadzki; a już po otrzymaniu prób wyrobów, zapisali się na udziały lub takowe zapłacili: hr. Krasiński, p. Wortmann etc.

Gdy więc spółka owocowa szuka dróg swoich, p. Kołakowski własną energią postawił na nogi fabrykacyę przetworów owocowych, która prowadzona jest przez specyalistę i ma wszelkie warunki pomyślnego rozwoju.

Z Wilna. Aczkolwiek dotychczas nie nadeszła ostateczna decyzya, czy dawny zamek, a raczej jego ruiny, wraz z górą zamkową pomiędzy Wilią i Wilejką i ogrodem Botanicznym pozostaje w posiadaniu miasta, magistrat nie przestaje się opiekować szczątkami starożytnego obronnego zamku dotąd zachowującemi ślady ostrołuku, a obowiązek ten został mu kiedyś powierzony przez zmarłego jenerała Albedyńskiego, gdy urzędował w Wilnie.

W roku bieżącym wyasygnowano rs. 300 na konserwacyję resztek muru i obecnie mularze wzmacniają na stokach fundamenty kamienne cementem. Również wieżyczka dawnego obserwatoryum astronomicznego, gdzie dziś mieści się czasowo stacya wojskowych telegrafów, będzie odrestaurowaną.

W wieżyczce tej umieszczono też stróża dla pilnowania przed zniszczeniem resztek murów, które najwięcéj od swawoli spacerujących nikną. Strzelania z armaty wałowej w południe ze szczytu góry zamkowej obecnie zaprzestano.

Ślubne wieńce. W starożytnym Rzymie oblubienice stroiły się w werbenę, którą własnoręcznie musiały zerwać i uwić w wieńce. Zwyczajem też było posyłać sobie wzajemnie wieńce z ostokrzewia, zamiast dzisiejszych biletów z powinszowaniami. Darzono się wreszcie pietruszką, jako ochroną przeciwko złym duchom. Ateńskie oblubienice wieńczyły skronie swe tarniną. Obecnie we wszystkich krajach cywilizowanych obu półkuli, panny młode przystrajają się w kwiat pomarańczowy. Zwyczaj ten wprowadzony został przez Saracenów, kwiat ten bowiem uważali oni za godło szczęśliwego małżeństwa. Tłomaczy się to poczęści tem, iż na Wschodzie drzewo pomarańczowe jednocześnie kwitnie i daje owoce.

Międzynarodowa wystawa robót kobiecych. W Londynie utworzył się pod patronatem królowej Wiktoryi komitet wysoko postawionych i wpływowych dam, w celu urządzenia latem w roku przyszłym w Glazgowie wystawy robót kobiecych. Okazy wystawowe zbierane będą ze wszystkich cywilizowanych i niecywilizowanych krajów kuli ziemskiej, aby światu pokazać, jak dalece rozwiniętą jest praca rąk kobiecych.

Sprawa ta traktowaną będzie zupełnie poważnie, a wszelkie hafty na kanwie, robótki szydełkowe, wyroby z włosów, suszonych kwiatów, ramki z ceraty, korka lub słomki, kwiaty z włóczki czy wosku i tym podobne bagatelki, któremi kobiety bez zajęcia czas zabijają, — będą zupełnie z wystawy wyłączone; nawet lalki i roboty paciorkowe wyjątkowo tylko przyjmowane będą. W marcu r. p. mają się odbyć mniejsze wystawy towarów drutowych i przedmiotów szytych w Londynie, Dublinie i Glazgowie, a wybór najlepszych okazów zarezerwowany zostanie na główną wystawę w lecie.

Oznaka honorowa dla kobiet. Niedawno udzielono we Francyi krzyż legii honorowej pani Furtado-Heine, ze względu na jej zasługi około dobra publicznego położone.

Dobroczynna ta kobieta jest założycielką przytułku pod Paryżem, nadto ofiarowała 4,000,000 franków na założenie instytutu dla ociemniałych, wzniosła szpital dla dzieci, podczas zaś wojny w 1870 r. setki żołnierzy utrzymywała i pielęgnowała własnym kosztem.

Krzyż legii honorowej jest udzielony we Francyi bardzo nielicznej garstce kobiet.

Jak żyje papież.

„Riforma” podaje niektóre zajmujące szczegóły z codziennego życia papieża, z których podajemy tu kilka:

— Ojciec św. wstaje zimą i latem o godzinie 6 rano, ubiera się szybko i udaje bezzwłocznie do kaplicy gdzie pozostaje przez godzinę, odprawiając najpierwej sam mszę, i słuchając jej następnie.

O siódmej arcypasterz udaje się na śniadanie, składające się niezmiennie z kawy ze śmietanką i dwóch jaj na miękko.

Cały zbytek obiadu papieża, wynosi zaledwie jedno scudo—około półtora rubla.

Wszelkich potrzebnych ku temu zakupów dopełnia jeden jedyny kucharz, który codziennie z ręcznym koszem odbywa długą pielgrzymkę przez ulicę Borgo i most degli Angioli, do starego miasta.

Drobiu papież nie jada nigdy, gdyż jak twierdzi, nie umie sobie poradzić z kurczęciem.

Za to codziennie niemal figuruje na stole rosół, befsztyk i owoce; wieczorem zaś nic więcej nad jaja i sałatę.

Do obiadu i kolacyi, papież wypija połowę niewielkiej szklanki bordo, które zakupuje się na butelki w jednym z detalicznych handlów rzymskich.

Z końcem roku jednak i ten wydatek zniknie z książek gospodarskich, gdyż papież w ogrodach watykańskich zasadził winne szczepy—zapowiadające znakomity zbiór.

Podług wymagań etykiety, papież zarówno śniadanie jak obiad i kolacyę, spożywa niezmiennie sam—jedynie w obecności funkcyonującej służby.

Nadworny kucharz naczelny przynosi każde danie z położonej na parterze kuchni, do przedsionka sali jadalnej na pierwszem piętrze, tu odbiera mu je drugi kuchmistrz i zanosi do sali jadalnej, gdzie wręcza pierwszemu kuchmistrzowi dla podania na stół.

Na prawo od stołu jadalnego stoi stolnik, a przy uroczystych okazyach i podczaszy, obydwa w czarnych frakach i białych krawatach, wszyscy inni zaś w szatach fijoletowych.

Stół jadalny papieża jest czworokątny,, obliczony właściwie na cztery osób.

Na kosztownym, ponsowym adamaszkowym obrusie, położony jest biały, misternie wyhaftowany przez zakonnice.

Papież zasiada na fotelu, nogi jego spoczywają zawsze na stołeczku.

Cały serwis stołowy, z wyjątkiem złotych solniczek, jest srebrny. Talerze z cennej białej porcelany o złotych brzegach, nie mają ani inicyałów, ani herbów.

Zasiadając i podnosząc się od stołu, papież odmawia modlitwę, na którą obecni odpowiadają „amen.”

Po obiedzie papież odbywa godzinną drzemkę, podczas której stół zostaje uprzątnięty i pokój oczyszczony.

Iks skończywszy czytanie nowelki świeżo przez siebie ukończonej, pyta się cierpliwego swego słuchacza:

— Jakże ją znajdujesz?

— No... — odpowiada przyjaciel jąkając się — praca twoja to, uważasz, ma pomysły... jest w niej ten... pieprzyk, co trąci podniosłością treści i naturalizmu...

— Otóż tak to rozumiem — przerywa Iks — kiedy mi kto jasno rzecz sformułuje, ale Stach bajał mi trzy po trzy, o tem o owem, o makulaturze, a ja nawet nie wiem co to jest właściwie makulatura?

— Nie wiesz?

— Ale naturalnie, objaśnij mnie więc.

— Makulatura to jest... to jest na czem się drukują utwory podobne twej nowelce.

* * *

Zabawne nieporozumienie wydarzyło się w tych dniach w małej wiosce westfalskiej, Dülmen. Odbywało się tam huczne wesele, podczas którego jeden z gości tak sobie podchmielił, iż musiano go z izby weselnej usunąć, a zanieść do stajni, o co zresztą sam prosił, mówiąc, iż musi się przedrzymać.

W chwilę później, chrapanie wesołego godownika napełniło całą stajnię z przyległościami. Nie zważano jednak na to i bawiono się wesoło.

Dopiero nad wieczorem przypomniano sobie o porzuconym w stajni towarzyszu i całe grono gości udało się na miejsce dla zbudzenia śpiocha.

Wszyscy stanęli zdumieni. Wesoły godownik spał jeszcze na sianie, a nad nim stał osioł i z zapałem lizał mu twarz językiem.

Poczęto się śmiać, gdy wtem dosłyszano jakieś mruczenie:

— Cicho! on coś mówi — odezwał się ktoś z widzów.

Istotnie, wśród ciszy rozległy się dość wyraźnie następujące słowa:

— Powoli, panie Moller, powoli! mówiłem już panu tyle razy, iż pańska brzytew drapie...

Obecny wśród gości golibroda wioskowy, pan Moller, bardzo się podobno na pijanego godownika oburzył i zagniewany opuścił wesołe zgromadzenie.

* * *

Geografia praktyczna. W jednej z miejscowości górskich, jakiś turysta wyrył na skale następujący swój pogląd na geografię:

Kto w różnych krajach nazwie ci góry,
Rzeki i miasta,
Ten geografię teoretycznie
Poznał — i basta.

Lecz kto całował krajów tych córy
I — rzeszę liczną,
Ten tylko zbadał wiedzę praktycznie
Geograficzną!

* * *

Komplemencista. Rzecz dzieje się w cukierni. Młoda i przystojna panienka je lody, młody człowiek przypatruje się jej uporczywie.

— Cóż pan tak ciągle patrzysz się na mnie?

— Dziwię się, droga pani, że te lody nie topnieją pod promieniami twoich oczu...

* * *

Także powód do małżeństwa. Jedna z gazet prowincyonalnych niemieckich, zamieszcza następujące ogłoszenie:

„Konkurs. Ponieważ wierzę w powszechny potop, który wkrótce nastąpi, postanowiłem zbudować arkę według systemu Noego, na 300 łokci długą, a 80 szeroką. Na cel ten potrzebuję wszakże około 30,000 fr. Dla uzyskania funduszu tego, wstąpiłbym chętnie w związki małżeńskie z ładną 18-to letnią panną. Poważne oferty przyjmuje N. M." Tu następuje szczegółowy adres.

* * *

Baronowa Helena Rothschild, o ucieczce której z domu gazety szeroko się rozpisały, uzyskała wreszcie pozwolenie matki na poślubienie oficera kawaleryi van Zuylen. Na perswazye krewnego, iż oficer żeni się z nią jedynie dla jej dwunastu milionów, baronówna odparła z uśmiechem:

— I cóż z tego? lepiej przecie być w młodych latach poślubioną dla pieniędzy, niż pomimo majątku pozostać starą panną.

* * *

Cierpliwy krawiec powiada do eleganckiego panicza:

— Śniło mi się dzisiejszej nocy żeś mi pan rachunek zapłacił.

— A i mnie się śniło — odpowiada panicz, nadymając się w jedwabnym szlafroku: — żem pana kazał za drzwi wyrzucić! Zobaczymy komu się wyśni?

RÓŻNE MYŚLI.

Prawda nie zdolna jest zdziałać tyle dobrego na świecie, ile jej pozory czynią złego.

La Rochefoucold.

OD REDAKCYI.

☞ Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

GALERYA DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**
Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 37 wyszedł z druku i zawiera:
Pogadanki z Nauczycielem,—Myśliwy w zasadzce na dzikie kozy (z drzew.) — Jedwabnik i pająk (wiersz). — Zwycięztwo. — Królestwo Syamskie (drzew.) — Jeleń Renifer (z drzew.) — Mała książeczka. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie. — Muszka (wiersz). — Wesele krakowskie. — Kwiateczki (wiersz). — Skoczek sybirski (z drzew.) — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa, której opis pomieścimy w następnym numerze.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Warunki są w nagłówku pierwszej kolumny.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

Prenumerata pozostaje ta sama i wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Августа 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa. Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.





Pl. 694.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.